

Agnieszka Kołakowska: Przedwyborcza wojna o kulturę we Francji

Francuzi wyczekują kogoś, kto ośmieli się wreszcie jasno powiedzieć, kim są i co ich łączy – zamiast wmawiać im, że wszystko ich dzieli. A klasa polityczna – jak w Anglii, jak w Ameryce, jak i w Polsce – ciągle nie rozumie, że sama ponosi winę za własną klęskę – pisze Agnieszka Kołakowska. Przeczytaj artykuł w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Francuski wybór.

Przygnębiający przedwyborczy chaos, jaki panuje we Francji, wydaje się bardziej przygnębiający i chaotyczny niż kiedykolwiek przedtem. Że jest chaos – to jeszcze pół biedy; przy ostatnich wyborach też mieliśmy poczucie chaosu. Ale to, co jest przygnębiające i niepokojące, przygnębia i niepokoi jeszcze bardziej niż w przeszłości.

Nie chodzi tylko o to, że bardzo długo nie było wiadomo, kto dokładnie kandyduje, choć wybory już za moment; na przykład François Bayrou, radykalny centrysta, dopiero teraz zdecydował, że nie będzie kandydował – poprze Emmanuela Macrona. O którym z kolei wiadomo tylko tyle, że – choć był ministrem ekonomii u socjalistów – nie jest, jak twierdzi, ani lewicowy, ani prawicowy, tylko „postępowy”, a jego program jak dotąd jest znany tylko w zarysach. Poza François Fillonem jest jedynym nieskrajnym kandydatem. Nie wiem, czy komuniści wreszcie zdecydowali, czy poprą Jeana-Luca Melenchona jako swojego kandydata, czy znajdą kogoś innego. A jeśli to drugie, to kogo? O

(osobliwym, trzeba przyznać) sojuszu Macron–Bayrou komentatorzy nie bardzo wiedzą, co myśleć, więc co chwila zmieniają zdanie. Przewidywania co do wyników drugiej tury, w której przypuszczalnie spotkają się Macron i Marine Le Pen, też co chwila się zmieniają: jeszcze tydzień temu Macron miałby – według sondaży – powalającą przewagę; teraz wygląda na to, że różnica między nim a Le Pen się skurczyła.

Francuska Thatcher i islamolewica

Nie chodzi też o to, że Fillon w końcu nie wycofał się (wbrew swoim wcześniejszym deklaracjom), mimo że wisi nad nim sprawa sądowa za przekręty dotyczące fikcyjnych prac dla swojej rodziny. Fillon w pierwszej turze może przegrać w Macronem, który z kolei mógłby w drugiej turze przegrać z Marine Le Pen. Ludzie nerwowo wskazują na przykłady Brexitu i Trumpa: myśleliśmy, że to niemożliwe, a jednak... Z różnych powodów nie są to przykłady całkiem przekonujące: Le Pen nie jest ani niekompetentna, ani szalona, nie są też szaleńcami ci, którzy głosowali za Brexitem. Prawdą jednak pozostaje, że wszystko może się zmienić. I pod jednym bardzo ważnym względem te wybory – owszem, jednak mają coś wspólnego z Trumpem i z Brexitem. O tym za chwilę.

Nie chodzi też o to, że jeśli Fillon przegra, nie będzie wyczekiwanej od dziesięcioleci reformy (desocjalizacji) gospodarki, ponieważ jest to jedyny ekonomiczny liberał wśród kandydatów. Można się pocieszać, że i tak by mu się to nie udało, bo jeszcze nikomu się nie udało. Jak dotąd wiara w „wyjątek francuski” i nietykalność świętych *acquis sociaux* (osiągnięć społecznych – przyp. red.) załatwiała każdą próbę reformy.

Fillon bywał optymistycznie zwany francuską panią Thatcher; ale francuska pani Thatcher jest chyba sprzecznością wewnętrzną – bytem, który nie może istnieć.

Nie chodzi nawet o to, że w tym całym cyrku dominują podejrzania przekrętów i teorie spiskowe. Jedni węszą spisek w nagłym odkryciu dawnych przekrętów Fillona i podejrzanie szybkim tempie, w jakim prokuratura się na nie rzuciła. Jeszcze inni wypatrują czegoś podejrzanego w tempie, w jakim prokuratura rzuciła się na Sarkozy'ego. Krążą pogłoski, że to z pomocą Putina Alain Juppé został wyrolowany na korzyść Fillona.

I nie chodzi również o to, że kandydat socjalistów Benoît Hamon jest politykiem skrajnie lewicowym. Ani wreszcie o to, że nowa lewica w postaci Hamona jest islamolewicą oddającą cześć przed ołtarzem multikulturalizmu. Koniec z zasadą „laïcité”; prawdziwa wolność ma polegać na wolności noszenia chust islamskich. Koniec też, jak rozpaczał pewien francuski komentator (przypuszczalnie nagle obudzony z wieloletniego snu albo świeżo przybyły z innej planety), z „narodem, ojczyzną, patriotyzmem, suwerennością, edukacją i pracą” – bo wszystkie te niegdyś drogie lewicy wartości przeszły na przechowanie do Frontu Narodowego, któremu oddał je François Mitterrand, gdy – jak uczeń czarnoksiężnika – wspierał go, by zniszczyć francuską prawicę. Ale francuska lewica, jak każda europejska lewica, już dość dawno wszystkie te przestarzałe zabobony i symbole opresji odrzuciła, niezależnie od Mitterranda. Stało się tak wszędzie, nie tylko we Francji. Tym bardziej więc nie o to chodzi. Ostała się jednak wciąż zasada „laïcité”, jako jeden z podstawowych filarów Republiki, i odejście od niej przez lewicę rokuje źle. Niemniej ciągle nie o to chodzi.

Cztery słonie w pokoju

Chodzi o coś innego: o to, o czym się nie mówi. Są to cztery sprawy: islam, oligarchia klasy politycznej, Rosja i antysemityzm. Niestety, tylko dwie pierwsze będą istotne w tych wyborach, ale szokująca jest ich nieobecność w publicznej przestrzeni. Politycy o nich milczą (oprócz Marine Le Pen, ale tylko na temat islamu), choć stoją one jak cztery wielkie słonie w pokoju. A poza gospodarką, na której uzdrowienie nadziei nie ma, są to najważniejsze kwestie dla Francji.

Pierwszy i najważniejszy słoń, dla większości Francuzów najistotniejszy z tej czwórki, to islam. Islam jest tematem tabu. Kandydaci w swoich programach niechętnie mówią o emigrantach: o tym, ilu chcą wpuszczać i co następnie mają zamiar z nimi robić. O islamizacji Francji, o terroryzmie islamskim, muzułmańskich gettach, bezprawiu, jakie w nich panuje, radykalizacji młodych muzułmanów, muzułmańskim antysemityzmie – o tych sprawach mówi tylko Marine Le Pen, choć też bardzo niewiele i dość selektywnie. O tym, jak w liberalnej demokracji chronić judeochrześcijańskie wartości, by zarazem zachować liberalną demokrację, nie mówi nikt. I tu jest to coś, co te wybory łączy z Trumpem i z Brexitem: w obu przypadkach przegrali ci, którzy z braku odwagi czy przez ideologiczną ślepotę udawali, że nie widzą słonia w pokoju.

Ten słoń jest związany z uszczuplającą się w niepokojącym tempie wolnością słowa i postępującą cenzurą, z polityczną poprawnością i polityką tożsamości grupowej. Głos mają jedynie grupy mniejszościowe uznawane za prześladowane przez „zinstytucjonalizowany” rasizm,

We Francji są cztery tabu: islam, oligarchia klasy politycznej, Rosja i antysemityzm

ksenofobię, islamofobię i homofobię. Co więcej, wszyscy ci, którzy ośmieliliby się odrzucić podział

społeczeństwa według kategorii tożsamości grupowej i oprzeć życie społeczeństwa na wspólnych Francuzom wartościach i historycznych tradycjach, zostają automatycznie objęci cenzurą, dyskwalifikowani z uczestniczenia w życiu publicznym i potępiani jako rasiści, ksenofoby, homofony i islamofoby. Wszelka krytyka islamu jest automatycznie uznana za rasizm. Tak więc nikomu nie przychodzi do głowy, by Mehdiemu Meklatowi (o którym za chwilę) wytoczyć jakikolwiek proces za jego antysemickie tweety; ale już historyk Holocaustu George Bensoussan oraz pisarz i filozof Pascal Bruckner stanęli przed sądem, podobnie jak niedawno Geert Wilders w Holandii.

Nowa sprawa Dreyfusa

Warto pokrótce wspomnieć o tych dwóch sprawach. George Bensoussan jest znanym i powszechnie szanowanym uczonym, historykiem Holocaustu urodzonym w Maroku, specjalizującym się w historii Żydów w krajach arabskich. Półtora roku temu wystąpił w programie radiowym Alaina Finkielkrauta, w którym zacytował z pamięci wypowiedź profesora Smaina Laacherona, francuskiego socjologa z Algierii, na temat antysemityzmu w arabskich rodzinach we Francji. Cytat był nieścisły, ale całkowicie zgodny z duchem i sensem wypowiedzi – wypowiedzi, która padła w filmie wyświetlonym we francuskiej telewizji. Laacheron mówił o „domowym”, głęboko zakorzenionym antysemityzmie wśród francuskich Arabów,

przejawiającym się na przykład tym, że gdy rodzice chcą skarcić za coś dzieci, mają zwyczaj wyzywania ich od Żydów. Laacheron powiedział, że w rodzinach arabskich antysemityzm jest „w samym powietrzu, którym oddychają”. W programie radiowym Bensoussan powiedział: „W arabskich rodzinach we Francji, jak Laacheron z wielką odwagą zauważył, antysemityzm jest wsysany z mlekiem matki”. Nie minęło kilka dni, a islamscy i proislamscy aktywiści rozpętali na Bensoussana nagonkę i oskarżyli o propagowanie „biologicznego rasizmu”. Proislamska organizacja CCIF podała go do sądu; do ataku dołączyła się Międzynarodowa Liga przeciwko Rasizmowi i Antysemityzmowi (z której Finkielkraut w proteście wystąpił), Francuska Liga Praw Człowieka, SOS Racisme – skrajnie lewicowa organizacja muzułmańska – i kilka innych. Film, z którego Bensoussan cytował wypowiedź Laacherona, został po raz kolejny wyświetlony we francuskiej telewizji parę tygodni po wypowiedzi Bensoussana w radiu, ale Laacherona nikt o nic nie oskarżył. Podobnymi wypowiedziami arabskich uczonych na ten temat ani prefektura, ani powyżej wymienione organizacje się nie zainteresowały. Mówi się o nowej sprawie Dreyfusa. Wyrok w procesie Bensoussana właśnie zapadł: uniewinniający.

Pascal Bruckner, znany francuski pisarz i filozof, został oskarżony przed sądem o obraźliwe wypowiedzi o islamie i o to, że w telewizji nawoływał do „założenia teczek” z nazwiskami „kolaborantów i mordercy” dziennikarzy w „Charlie Hebdo”. W swojej obronie mówił, jak doniósł tygodnik „Le Figaro”, że chodziło mu o „ujawnienie ideologii tożsamościowej, której aktywiści, prócz walki z rzekomym rasizmem państwa francuskiego, lubią z terrorystów robić ofiary tego rzekomo rasistowskiego państwa, z ofiar zaś – głównych sprawców, ponoszących winę za własny los”. Sprawa Brucknera też się zakończyła wyrokiem uniewinniającym, co zostało przez niektórych uznane za triumf

wolnego słowa. Ale – jak zapytał pewien komentator – czy jesteśmy w Korei Północnej? Czy wolność słowa i wyrok uniewinniający w takich sprawach stały się we Francji rzeczą tak rzadką? Najwyraźniej tak...

Mehdi Meklat jest pisarzem urodzonym na paryskich przedmieściach, piszącym pod pseudonimem, uznawanym za „wschodzącą gwiazdę dziennikarstwa przedmieść” i idola francuskiej lewicy, regularnie zapraszany do kulturalnych programów radiowych i telewizyjnych. Niedawno wyszło na jaw, że jest autorem tysięcy antysemickich tweetów, w których m.in. wychwalał morderstwa w piśmie „Charlie Hebdo”, groził śmiercią dziennikarzom tego pisma i mówił o potrzebie nowego Hitlera, który by zrobił porządek z Żydami. Ale Meklatowi nikt nawet nie myśli wytaczać procesów. Jedni go bronią, inni potępiają, w mediach lewicowi intelektualiści się spierają, czy potępić, czy usprawiedliwiać, i jak to pogodzić z jego pisarstwem. Trwa dyskusja. Ożywiona, ale pełna pobłażliwości.

Kultura francuska i kultura we Francji

Ten słoń może mieć decydującą wagę w wyborach. Marine Le Pen po wizycie w Libanie, gdzie odmówiła noszenia chusty podczas spotkania z wielkim muftim, podskoczyła w sondażach. Wydaje się, że podskoczyła też, gdy lewicowy komentariat zaczął wycić o konieczności pozbawienia jej immunitetu, by mogła zostać przesłuchana w sprawie dotyczącej fikcyjnych prac w parlamencie (tak jak Fillon), tym razem europejskim. I za chwilę przypuszczalnie jeszcze wyżej w tych sondażach podskoczy, bo Parlament Europejski postanowił z niej immunitet zdjąć. Lecz nie o tę sprawę chodziło. Immunitetu pozbawiono ją za „diffusion d'images violentes” – przestępstwo, za

które grożą trzy lata więzienia i grzywna w wysokości 750 tys. euro. Chodzi o rozpowszechnianie tweetów ze zdjęciami okropieństw popełnianych przez ISIS, w tym morderstwa amerykańskiego dziennikarza – zdjęcia, które (jak twierdzi Marine Le Pen) można z łatwością znaleźć w internecie.

Tu do pokoju wkracza drugi słoń – oligarchii klasy politycznej. Nietrudno zrozumieć, jak te dwa słonie mogą doprowadzić do zwycięstwa Marine Le Pen w drugiej turze wyborów. O stronniczości sądów mówił już Fillon; o zamkniętej klasie politycznej, instytucjonalnej oligarchii, pogardzie elit zaczyna się mówić coraz więcej. Skoki w sondażach Marine Le Pen pokazują, jak ważne są te słonie w tych wyborach. Mieszanka politycznej poprawności, ideologii tożsamości grupowej i pogardy dla prawa ze strony francuskiej klasy politycznej doprowadziła do coraz większej cenzury, ograniczenia wolności i swobód, coraz większych politycznych manipulacji – w imię wolności, emancypacji i walki o równość. Francuzi, jak inni w Europie i w Ameryce, są tego coraz bardziej świadomi. I zaczęli się buntować. Tak samo jak w przypadku Brexitu, tak samo jak z Trumpem, francuskie wybory będą w dużej mierze rozgrywać się wokół tych dwóch słoni. Innymi słowy: wygrana Marine Le Pen jest jak najbardziej do pomyślenia.

Zwłaszcza że Macron kilka dni temu częściowo ujawnił nam istotę swojej postępowości, między innymi w dziedzinie kultury: „Nie ma jednej kultury dla jednych i innej dla innych. [Inaczej] nie byłoby tego wspaniałego francuskiego bogactwa, które mamy i którego część mielibyśmy odrzucić” – powiedział. (Wolno tu zapytać: kto komukolwiek każe cokolwiek odrzucać? Brzmi to jak nieuczciwa demagogia, podobna do idiotycznych lamentacji lewicowych

brytyjskich elit po Brexicie, że nie będą mogli już czytać europejskich książek ani słuchać europejskiej muzyki, tylko – przypuszczalnie – będą gnić w szczelnie zamkniętym kraju, jedząc tłustą baraninę). I dodał: „Zresztą nie ma czegoś takiego jak francuska kultura; jest kultura we Francji. Jest ona różnorodna i wieloraka. Nie chcę wykluczyć z obrębu tej kultury autorów, muzyków czy artystów pod pretekstem, że pochodzą skądinąd”.

Celnie tę wypowiedź skomentował Alain Finkielkraut: „Konserwatyści bronią kultury francuskiej, postępowcy celebrować kulturę we Francji. Innymi słowy, dla tych, którzy się znajdują pod tym sztandarem, Francja to już nie historia, to już nawet nie kraj: to czysta przestrzeń. Przestrzeń-Francja przyjmuje różnorodność i w tej różnorodności nie ma żadnej historii, żadnej tradycji, żadnej hierarchii. Wszystko jest równe; skoro wszystko jest inne, wszystko jest takie samo”. Ideologia multi-kulti jest nierozłącznie związana, zarówno w praktyce, jak w teorii, po pierwsze z lewicą, po drugie – co ważniejsze – z ideologią walki z „islamofobią”. Co z kolei jest w praktyce związane z antysemityzmem. Więc jesteśmy w domu. Cały piękny dyskurs Macrona, że nie jest ani prawicą, ani lewicą, jest mydleniem oczu. Na dodatek widać u niego tę samą pogardę – typową dla europejskich (i amerykańskich) elit – co na lewicy; tę samą skłonność do kneblowania i oskarżania o rasizm i ksenofobię każdego, kto ośmieli się napomknąć o wspólnej francuskiej kulturze, tradycjach, wartościach. Kolejne kilka procent dla Marine Le Pen.

Słonie istotne i nieistotne

Trzeci słoń to Rosja. Prawie wszyscy poważni kandydaci w wyborach prezydenckich są prorosyjscy w mniejszym lub większym stopniu. Marine Le Pen normalnie dostaje pieniądze z Moskwy; Fillon lubi mówić o swoim „przyjacielu Putinie”. W jakim stopniu jest zależny od Moskwy – nie wiadomo. Ale Macron był niedawno ofiarą rosyjskich prób umoczenia go w rozmaite przekręty. Możliwe, że celem tego było wyrolowanie go na korzyść Fillona. Możliwe nawet (tu znów teoria spiskowa), że ma to jakiś związek z decyzją Fillona, by nie wycofywać się z wyborów. Innymi słowy, że decyzja ta została powzięta po porozumieniu z Moskwą. Nie wątpię w to, ale dowodów nie ma. Choć sam Macron też bynajmniej antyrosyjski nie jest: nawołuje do dialogu z Rosją, dialogu „niezależnego”, „znormalizowanego” i „stałego”, głównie dotyczącego Ukrainy i Syrii. Co więcej, dialog ten ma być prowadzony „w kontekście europejskim”. Niejasne jest, co to znaczy. Macron jest bardzo proeuropejski i podkreśla wagę strzeżenia granic Europy, a nie poszczególnych państw; ale co ma to wspólnego z dialogiem z Rosją – nie bardzo wiadomo.

Nie wiadomo też, w jakim stopniu jego prorosyjskość jest po prostu drugą stroną medalu jego antyamerykańskości: chciałby osłabić sankcję wobec Rosji, bo „Francja nie może pozwolić, żeby jej politykę międzynarodową dyktowały Stany Zjednoczone”. Może to być po prostu objawem powszechnej francuskiej choroby, w której antyamerykańskość jest powiązana z przekonaniem, że Francja jest pępkiem świata: francuscy komentatorzy oburzali się, że Theresa May nie chce przyjechać do Paryża na rozmowy o sprawie palestyńskiej, przekonani, że świadczy to o jej pogardzie dla Francji i nadmiernym przywiązaniu do Ameryki. Nikomu nie przyszło do głowy, że może miała coś przeciwko jednostronnym rozmowom na ten temat, bez udziału Izraelczyków ani Palestyńczyków. Macron podkreśla różnicę

między sobą a Fillonem pod względem stosunku do Rosji: „Ja nie jestem zafascynowany Putinem, nie podaję się też za jego przyjaciela. Jestem dla Rosjan mniej pobłażliwy”. Nie brzmi to jednak zbyt przekonująco.

Francuskie gazety o tym wszystkim informują, ale bez zadawania zbyt wielu pytań, bez szczególnego niepokoju i tym bardziej bez oburzenia. Czasem nawet, w porywie pobłażliwości, odsyłają do artykułów sowietolożki Françoise Thom – jednej z bardzo niewielu francuskich uczonych, poza Alainem Besançonem, którzy widzą w Rosji zagrożenie. Niekiedy posuwają się nawet do cytowania krótkich wyjątków z jej artykułów, np. w „Le Monde”: „Nasi suwereniści, którzy tak się troszczą o naszą niezależność od Stanów Zjednoczonych, nie mają najmniejszych problemów z dopasowywaniem się do woli Kremla, co można było zauważyć zarówno na prawicy, jak na lewicy, podczas wojny z Ukrainą (...). Cierpliwa strategia Kremla przejmowania elit i opiniotwórczych środowisk zaczyna owocować”. Ale to wszystko. Ogromna większość francuskiej inteligencji, nie mówiąc o politykach, nie widzi w Rosji zagrożenia i nie oburza się szczególnie zależnością francuskich polityków od Kremla. Pokutuje przekonanie, że lepsze to od Ameryki. Tak więc, niestety, nie jest to kwestia, wokół której będą się rozgrywać te wybory. Ten słoń pozostanie niezauważony.

Nie jest też istotną kwestią czwarty słoń: antysemityzm. Nie tylko muzułmański, lecz rozpowszechniony na całej lewicy. I to – jak pokazują sprawy Melkata, Bensoussana czy Pascala Brucknera – bynajmniej nie tylko na skrajnej. Na skrajnej lewicy jest to „nowy” antysemityzm: antysemityzm związany z polityką tożsamości, pozornie już nie rasowy, lecz polityczny i antyizraelski, kryjący się pod starym jak świat i zawsze antysemickim hasłem antysyjonizmu, za troską o los

Palestyńczyków i walką z islamofobią. Lecz to, że dziś przedstawia się on jako polityczny i antyizraelski, w niczym nie zmienia faktu, że jest antysemityzmem. Hasła, za którymi się kryje, nie przeszkadzają islamistom w mordowaniu Żydów ani sprzyjającym im lewicowcom w nawoływaniu do ich mordowania. Umiarkowana lewica, a także w pewnej mierze nawet centroprawica, nie umie albo nie ośmiela się przed tym bronić i najwyraźniej szczególnie jej na tym nie zależy: zadowala się potępiającymi frazesami, często opatrzonymi ciągiem dalszym, który zaczyna się od słowa „ale”...

Na skrajnej prawicy natomiast „stary” antysemityzm jest nadal żywy, jakkolwiek Marine Le Pen próbowała się od niego odciąć, w dobrej wierze czy nie. A można wątpić, czy w dobrej wierze: wymierzona przeciwko Żydom insynuacja wątpliwej lojalności jest tradycyjną częścią antysemitckiego dyskursu i gdy Marine Le Pen oświadczyła, że chce znieść prawo do podwójnego obywatelstwa dla obywateli pozaeuropejskich państw, wymieniając w szczególności Francuzów-Izraelczyków, sama posłużyła się tą retoryką. Trudno uwierzyć, że nieświadomie. Równie trudno uwierzyć, że nie liczy na antysemitckie głosy. Ale nikt o tym słoniu nie wspomniał. Nawet żydowskie organizacje, wyrażając swoje oburzenie, nie przypomniały starej insynuacji, jaka się z takim krokiem kojarzy, podkreślając jedynie aspekt sprawy związany z bezpieczeństwem: że wobec rosnącego antysemityzmu i ataków na Żydów we Francji Żydzi francuscy muszą mieć możliwość bezpiecznego schronienia się w Izraelu.

Problem antysemityzmu i problem Rosji pozostają dla francuskich wyborców słoniami mało istotnymi. Ale słonie islamu i klasy politycznej domagają się zauważenia. We Francji, tak samo jak w Anglii i w Ameryce, wyborcy sztucznie podzieleni według rasy, religii i płci

przez narzuconą im politykę tożsamości, traktowani z pogardą przez elity i klasę polityczną, pouczani, że nie wolno im mówić o swoim kraju i swojej kulturze, swojej historii i swoich tradycjach, wyczekują kogoś, kto ośmieli się wreszcie jasno powiedzieć, kim są i co ich łączy – zamiast wmawiać im, że wszystko ich dzieli. A klasa polityczna – jak w Anglii, jak w Ameryce, jak i w Polsce – ciągle nie rozumie, że sama ponosi winę za własną klęskę.

Tekst został napisany na początku marca i pierwotnie ukazał się w tygodniku „Plus Minus” nr 10/2017